

STANISŁAW JADCZAK

ur. 1947; Trawniki



Miejsce i czas wydarzeń	Lublin, PRL
Słowa kluczowe	klub Nora ; Relacje. Tygodnik Wschodni ; Lublin ; przełom 1989/1990 ; klub Arcus ; Hrubieszów ; Tomaszów Lubelski ; Zamość ; Białystok ; PRL ; ITD (tygodnik) ; ZSP ; Związek Studentów Polskich ; ZMS ; Związek Młodzieży Socjalistycznej ; SPONZ ; Almatu ; Ekspres fakty (gazeta) ; Kamena (dwutygodnik) ; Tygodnik Zamojski ; Gazeta Domowa ; restauracja Litewska ; wspomnienia o Franciszku Piątkowskim ; Konfrontacje Teatralne ; Teatr Ósmego Dnia ; Teatr STU ; Politechnik (czasopismo studenckie) ; Studencki Klub Filmowy w Chatce Żaka ; Miasteczko Akademickie UMCS ; Budimex ; Wydział Politologii UMCS ; Wakacyjna Akademia Reportażu im. Ryszarda Kapuścińskiego ; Bojarczuk, Helena ; Czarnocki, Andrzej ; Czerwińska, Ewa ; Dras, Waldemar (1955-1994) ; Gnot, Lesław (1928-2004) ; Gudebska, Danuta ; Ignatowicz, Jerzy (1914-1997) ; Korneluk, Halina ; Kozdra, Władysław (1920-1986) ; Lis, Józef ; Orzechowski, Tadeusz ; Piątkowski, Franciszek (1946-2016) ; Pieniążek, Antoni (1940-) ; Seidler, Grzegorz Leopold (1913-2004) ; Szpak, Jarosław ; Wlazłowska, Izabela ; Wolter, Aleksander (1905-1967) ; Żolnierczuk, Mieczysław

1. Pierwsze spotkanie z Frankiem Piątkowskim

Podczas egzaminów wstępnych na Wydział Prawa w Lublinie szliśmy grupami, a jakoś tak się zdarzyło, że nazwiska [na literę] „J”i „P”były blisko. Wtedy na [prawo] przyjmowano sto dwadzieścia osób, a nas, kandydatów było ponad tysiąc. Nikt się tam prawie nie znał osobiście, spośród tego towarzystwa znałem kolegów z mojej klasy maturalnej lub sąsiednich i z Liceum Czarnieckiego w Chełmie. To też byli później tacy wybitni ludzie typu pan profesor Andrzej Czarnocki z UMCS-u, wybitny politolog od spraw międzynarodowych, czy pan Kazimierz Wołyniec, niestety nieżyjący, też pracownik naukowy, [z którymi] tak we trójkę się trzymaliśmy. Ale tak się jakoś zdarzyło, że właśnie to „J”i „P”[było] razem. Wtedy po raz pierwszy zobaczyłem takiego niskiego, młodego człowieka, który zwrócił uwagę wzrostem. Zwracał uwagę wzrostem, ale też sposobem mówienia. Mówił w sposób bardzo taki, można powiedzieć, dydaktyczny. Nie rozmawiał ani szybko, ani prędko, ale tak właśnie wystawiał się i rozmawiał z nami, jak adwokat, jak pan profesor. Celebracja słowa już wtedy była widoczna u Franka. Dopiero na studiach pierwszego

października, jak dostawaliśmy indeksy i pan rektor Seidler bił nas swoim berłem po ramieniu, jakoś zaczęliśmy się organizować. No i ten Franek rzucał nam się w oczy. Każdy pytał: „Skąd jesteś?” On był spod Piotrkowa Trybunalskiego. Dlaczego wybrał Lublin? Dlatego, że Lublin, jak opowiadał, zawsze mu się kojarzył z taką przeszłością historyczną. Z tą wielokulturowością, wielonarodowością. A Warszawa –nie lubił wielkich miast, wołał Lublin. Zresztą, mnóstwo Warszawiaków wtedy studiowało w Lublinie. Nie tylko na KUL-u, ale i na UMCS-ie. Właśnie wybierali Lublin, bo im się podobało, że tu jest spokojniej, ciszej. Ale jednocześnie jest taka fajna atmosfera –stare miasto, luz, kultura studencka bardzo intensywna. Franek od razu przyłgął do „Gongu 2”Andrzeja Rozhina. Znaczący wtedy jeszcze był „Gong 1.” Bo to był rok 1964.

2. Każdy próbował się określić

Każdy usiłował się jakoś w tej społeczności studenckiej określić. Przede wszystkim od razu odbywały się targi. Przychodzili ludzie z ZSP [Zrzeszenie Studentów Polskich], ZMW [Związek Młodzieży Wiejskiej], ZMS [Związek Młodzieży Socjalistycznej], ze Studenckiego Stowarzyszenia Przyjaciół ONZ-u, z „Almaturu”i [zachęcali]: „Do nas przyjdźcie. Chodźcie tutaj, do nas. My wam to oferujemy” A rzeczywiście, oferta studencka wtedy była bardzo bogata. W odróżnieniu od dzisiejszej. Bo ZSP, to wiadomo, były obozy, były fajne rzeczy. Ludzie się potrafili w ZSP urządzić. Przecież ta dzisiejsza czołówka polityczna, to wszystko ma ZSP za sobą, prawda? Do ZMS-u szli tacy z przekonaniem, z rodzin lewicowych, przeważnie działacze partyjnych, urzędników i wieś gremialnie. Niestety, wtedy te podziały klasowe były wyraźne i my mieszcuchy do tej wsi to byliśmy tak troszkę z boku i chłopcy z ZMW zawsze byli uważani za coś gorszego. A kto lubił języki obce i świat, to [szedł] do SSPONZ-u. To było Studenckie Stowarzyszenie Przyjaciół ONZ-u, które miało mnóstwo takiego luzu politycznego. Dawało nawet szanse przebicia się do dyplomacji w przyszłości, czy do wyjazdów zagranicznych na Zachód, więc to było takie atrakcyjne. „Almatur”to były koła przewodników bieszczadzkich, bardzo atrakcyjne wycieczki, rajdy za darmo, więc tam też się mnóstwo ludzi zapisywało. Był Studencki Klub Dyskusyjny w Chatce Żaka, filmowy, który miał duże przywileje. Bo puszczano filmy, można powiedzieć, z Zachodu, nieobecne w szerokiej sieci, ale też filmy tak troszkę jakby przez cenzurę zatrzymywane. To ówczesna władza realizowała bardzo interesujący projekt pod tytułem: „Studentom, wolno więcej” Tak więc projekt polegał na tym, żeby studencka brać się nie burzyła i była za władzą ludową. Za to dostawała kulturę w ogromnym wymiarze i, że tak powiem, prawie bez cenzury. Mieliśmy dostęp do teatru, o jakim się dzisiaj nie marzy. Bo na „Studencką Wiosnę Teatralną” czy na jesienne „Konfrontacje”przyjeżdżała do Lublina cała czołówka teatrów studenckich. A były to studenckie teatry najwyższej jakości, światowej wręcz. Typu Grotowski, wrocławska „Pantomima”Tomaszewskiego, „Teatr Ósmego Dnia” „Kalambur” „Teatr STU”z Krakowa. Więc jak się zaczynały w kwietniu te przeglądy, to po prostu był raj teatralny. I te teatry grały sztuki, które, że tak

powiem, dla dorosłej publiczności nie przechodziły, czyli były antysystemowe lub kontra-systemowe. Do Studenckich Klubów Dyskusyjnych przyjeżdżali filmowcy, którzy też albo byli „na cenzurowanym” albo przynajmniej krytyczni wobec władzy. I też rozmawiano o wszystkim i nie było represji, nie było żadnych z tego powodu kłopotów. Podobnie też, jeśli chodzi o pisma studenckie. Przede wszystkim „itd” bardzo ważne, ale też „Student” czy „Politechnik” też miały pewną dozę luzu takiego, żeby więcej można było napisać o rzeczywistości krytycznie, niż w normalnej prasie, w której się w ogóle nie dało tego czytać.

3. Teatr Rozhinowy

Franek od razu złapał się za teatr. Po prostu po jakimś czasie już wiedzieliśmy, że Rozhin i Baśka, która potem została Rozhinową, jego sławetna żona Barbara, to są przyjaciele Franka. Franek nam opowiadał, załatwiał bilety do „Gongu” Biletów było mało, bo miejsc było mało, więc bilety też się rozchodziły, ale po pierwsze trzeba było mieć pieniądze, a w tamtych latach tak za bardzo ich nie było. Więc Franio nas tam do tego „Gongu” często wpuszczał. „Gong” miał spektakle oczywiście w Chatce Żaka. Była piękna sala widowiskowa, to było centrum kultury studenckiej, które tętniło [życiem]. Codziennie tam się coś działo. Po latach, drugim takim centrum, stał się klub studencki „Arcus” tutaj przy kościele wizytkowskim. Przez niego przeszli tacy znakomici ludzie, jak Jurek Wolniak szef Rady Okręgowej ZSP, długie lata później prezes Targów Lubelskich. Andrzej Kurowski, kierownik klubu, który potem został wojewodą lubelskim. Tadeusz Sawic były szef Zarządu Głównego socjalistycznego Związku Studentów Polskich, bo za czasów Gierka taką przybrało nazwę, potem kierownik wydziału kultury chyba KC PZPR. W Lublinie kultura po prostu naprawdę przyciągała do siebie ludzi takich, którzy mogli się w niej zrealizować i coś zrobić. Ale Franio był twórcą, takim człowiekiem, który bardzo teatr kochał. Od początku było to widać, jak opowiadał o tym teatrze. Z Rozhinem, to były dyskusje całonocne. W ogóle to nie był reporter, to był teatrolog. Człowiek teatru. Ale też próbował coś pisać. Pamiętam, że napisał piosenkę, która nawet chyba w „Trójce” była. To było coś: „Do lata, do lata, trzeba iść” [właśc. „Piechotą do lata” śpiewała to młodziutka [Beata] Kozidrak, ale to Franio napisał tekst.

4. Studia stabilne finansowo

To były czasy studenckie w takich warunkach bardzo stabilnych finansowo. Bo mieliśmy stypendia. Każdy student miał stypendium. Było niewielkie, tam trzysta, czy sześćset złotych, ale było. Akademiki były za grosze, stołówka studencka była w ramach stypendium, czyli ludzie nie musieli zarabiać. Jak brakowało pieniędzy, to student szedł oddawać krew na Pierwszej Armii Wojska Polskiego. Dostawał za to też trzysta złotych. I wtedy już we cztery się zbierali, zamawiali taksówkę i jechali za tą krew do Kazimierza do „Esterki” na balangę. To były takie studenckie zabawy w ówczesnym Lublinie. To był inny świat zupełnie. Przede wszystkim właśnie te

wszystkie organizacje młodzieżowe bez przerwy organizowały jakieś biwaki, jakieś, w cudzysłowie, szkolenia. Ale chodziło o to, że wyjazd na trzy dni do Kazimierza do „Murki”[był] za darmo, że cały czas coś się działo. Ten student miał ofertę. Ofertę, którą mu organizowano. Na przykład na tych szkoleniach ZMS-owskich, czy ZMW, to tam była, owszem, jakaś doza partyjności, propagandy. Ale w ZSP nic nie było, w ZSP się raczej rozmawiało o tym, jak dobrze i godnie przeżyć studia. Jak się poprawić, z pracą ułożyć po studiach. Tak, że jeszcze bardzo ważną sprawą w ZSP były właśnie kursy pilotów wycieczek zagranicznych z „Almatorem” Jeśli ktoś znał języki, skończył ten kurs, no to świat stał otworem. Ja osobiście byłem ze dwadzieścia razy w czasie studiów w świecie. Tak, że student miał inne prawa.

5. Wciągnął mnie do pisania

Mogę powiedzieć, że Franio mnie wciągnął do pisania. Tak się zdarzyło, że wtedy były dość sztywne podziały na grupy alfabetyczne, tak, że spotykaliśmy się na przykład na prawie rzymskim. Pan profesor Żołnierczuk z prawa rzymskiego w tamtym [czasie] był magistrem i jedynym asystentem profesora Wiśniewskiego. Sławetnym z tego powodu, że przejście „rzymu”[egzamin z prawa rzymskiego] na prawie, to było mniej więcej tak, jak na medycynie, przejście anatomii. Porównywalne. Więc profesor siedział za biurkiem, czterech [studentów] brał do [odpowiedzi], a z tyłu siedział Żołnierczuk. Notabene też chłopak spod Hrubieszowa, gdzieś tam okolice Tyszowiec z tego, co pamiętam. Siedział i gryzł sobie ziarnka słonecznika. Taką miał przypadłość. Studenci odpowiadali, że przed oceną Wiśniewski patrzył na Żołnierczuka i Żołnierczuk pokazywał „gest cesarza” góra –dół kciukiem. To było decydujące, bo to on miał ćwiczenia, więc mógł uratować ocenę, jeśli na przykład student był dobry na ćwiczeniach, a na egzaminie zestresował się. A jak na ćwiczeniach Żołnierczuk go tam jakoś „minusował” no to pokazywał kciukiem do dołu. Czyli „zabić studenta” U profesora w pierwszym terminie odsiew był tak dziewięćdziesiąt procent. Ja lubiłem łacinę, Franio też, więc byliśmy nawet jakimiś takimi, można powiedzieć, prymusami z tej łaciny. W tej grupie, która kompletnie nie miała ochoty się uczyć łaciny. Ale trzeba było cały rok, dwa semestry lektoratu z łaciny zaliczyć. I tak jakoś wtedy, pamiętam, że częściej rozmawialiśmy. Ale Franio nie był człowiekiem ani rozrywkowym, ani takim prowadzącym typowe życie studenta, czyli właśnie od wina, do wina. Bo piwa się wtedy nie piło, raczej wino. Był intelektualistą. To było widać, że jest człowiekiem po prostu często „chodzącym w chmurach” A już jego sposób wysławiania się często człowieka onieśmiał. I ludzie, którzy nie mieli daru wymowy, czy też ich szare komórki nie były zbyt liczne, mieli kłopot z kontaktem z nim. Bo on mówił językiem, którego niektórzy nie rozumieli. Oprócz „Gongu, była Chatka Żaka, powstały „Konfrontacje” –takie pisemko przy „Kurierze” znaczy, pisemko –cała strona. Wtedy „Kurier” miał bardzo duży format, A2 i było tam naprawdę sporo miejsca, żeby wypełnić treścią, żeby to zapisać. Redaktorem naczelnym „Kuriera” był Lesław Gnot, który skończył studia

dziennikarskie w Krakowie, na UJ. Leszek Gnot był człowiekiem bardzo miłym, sympatycznym, kulturalnym, lubiącym kulturę. I takim młodzieńczym. Zresztą jego córka, Małgosia Gnot potem pracowała długie lata w „Sztandarze” i w „Kurierze” Bardzo dobra dziennikarka i też taka sympatyczna. [Leszek Gnot] to był bardzo życzliwy człowiek, on tych studentów po prostu lubił wszystkich. I bardzo się cieszył, że ma te „Konfrontacje” u siebie. Jak się wchodzi do bloku [akademika] A, to po prawej stronie był taki pokój, siedziba radia studenckiego i pokój „Konfrontacji” W tych „Konfrontacjach” kto chciał, [to pisał], a nie każdemu chciało się pisać wtedy, więc przychodził i tak siedział, jak to studenci siedzą. To była grupa gdzieś około trzydziestu osób. I Franio właśnie zaczął to towarzystwo organizować i prowadzić te „Konfrontacje” Przede wszystkim był bardzo nastawiony na kulturę studencką, więc były tam teksty dotyczące właśnie działalności kulturalnej Teatru Gong 2, ale też Zespołu Pieśni i Tańca UMCS [Stanisława] Leszczyńskiego. Bardzo często były też robione jakieś kulturalne imprezy wydziałowe. Polityki tam nie było. Pamiętam, takim dużym wydarzeniem były filmy [Kazimierza] Kutza. Dzisiaj nie przyjadą do studentów, a wtedy przyjeżdżali. Przyjeżdżał Kutz do Lublina na spotkania ze studentami. Przyjeżdżał też Wajda, to zawsze było duże wydarzenie, a Franio wszystkie ogarniał, opisywał. I była kiedyś jakaś historia z naszego wydziału, z Prawa, o której mi opowiadałem. Zaczepił mnie i mówi: „Napisz to do Konfrontacji” Napisałem.

6. Komisja socjalna na Wydziale Prawa

Ja byłem między innymi, w Komisji Socjalnej z ramienia ZSP. Działanie Komisji polegało na tym, że co miesiąc rozpatrywaliśmy wnioski o zasiłki socjalne. Zasiłki socjalne to była wartość trzystu złotych. Można powiedzieć, że na dzisiejsze czasy jakiś tysiąc złotych, tysiąc dwieście, gdzieś w tych granicach. Zasiłki socjalne otrzymywało się na śmierć babci, która umierała średnio ze trzy razy w roku. Dziadek też umierał trzy razy w roku. Choroba matki, buty trzeba kupić, okradli mnie w pociągu albo w autobusie. Nikt tego nie sprawdzał. Taka była polityka, że państwo na to dawało pieniądze. Atutem było to, że zespołowi [Komisji] przewodniczył wicedziekan do spraw studenckich, profesor Skrzydło, późniejszy rektor UMCS-u. Więc zaprzyjaźniliśmy się z profesorem Skrzydło też z tego powodu. Asystentem rektora do spraw studenckich był wtedy doktor Pieniążek Antoni, też taka znana postać. Oni tam przychodzili albo nie przychodzili, a myśmy rozdzielali zasiłki. Wydział miał wtedy średnio jakieś sześćset osób, to mniej więcej sto pięćdziesiąt dostawało ten zasiłek. Staraliśmy się, żeby każdy miał, bo trzysta złotych to było bardzo dużo. Bilet trolejbusowy kosztował dwadzieścia groszy, więc to były naprawdę pieniądze spore. Szło się do kwestury i odbierało zasiłek. Część [osób], zwłaszcza z Wydziału Prawa, od razu udawała się do restauracji „Litewska” na placu Litewskim. I tam, spożywano te pieniądze. „Litewska” mieściła się w kompleksie hotelu „Europa” z lewej strony Placu. [Mijało się] wejście idąc wzdłuż [budynku] do Krakowskiego. Na rogu była „Europa”—zbyt luksusowa dla studentów, a tu była „Litewska” Nie powiem,

stosunki na Wydziale Prawa, zwłaszcza już tak po czwartym roku panowały tak rodzinne, że i profesorowie chodzili z nami do tej „Litewskiej”

7. Wykładowcy prawa

Miałem szczęście, że załapałem się na profesorów przedwojennych, którego to atutu nikt już nie ma. Bo takich ludzi już nie ma i nie będzie. No, może profesorowie Zoll, Strzembosz. To tego typu ludzie. Było tak, że część Lwowa [wykładowców Uniwersytetu Lwowskiego] przyjechała do Lublina. Ona się osadziła na KUL-u, ale odpryski też na UMCS-ie. przyjechało do Lublina też kilku ludzi z Wilna. To byli fantastyczni naukowcy, jak na przykład profesor Aleksander Wolter, cywilista, specjalista od prawa cywilnego. Osiedlił w Krakowie, ale przyjeżdżał do nas. Najwybitniejszy w historii prawnik cywilny w Polsce. Bardzo surowy. Jego wykłady musiały mieć stuprocentową frekwencję. Odnotowywano obecność i podpisywano wykłady w indeksie. Świetny człowiek, bardzo dobry w kontaktach ze studentami, chociaż surowy. To była naprawdę wybitna postać. Profesor Seidler. Uczył nas propedeutyki filozofii, wstępu do państwa i prawa. Seidler był Ormianinem, pochodził z Kresów, gdzieś spod Lwowa, ze Stryja bodajże. I cały czas zarzucano mu, że jest Żydem. On Żydem nie był, ale oczywiście czasami go tym epitetem, obdarzano. Seidler był w kontakcie ze studentami niezmiernie porywczy i niezmiernie gwałtowny. Czasami do bólu. Były takie numery, że dostawał szalu na egzaminie i wyrzucał indeksy studentów przez okno. Ale był bardzo lubiany, bo miał dobre serce. Chodził zawsze z parasolką, jak przedwojenny dżentelmen i w kapeluszu. Wobec tego tą parasolką czasami komuś tam [przyłożył], jak zobaczył jakąś awanturę. Ale też był jeden taki minus, można powiedzieć, że nie szanował asystentów. On ich lubił, to były jego dzieci, ale rzeczony Antoni Pieniążek siedział na przykład w pierwszym rzędzie, obowiązkowo, na jego wykładach. Bo teczkę nosił za Panem profesorem. Wtedy, się nosiło teczkę. [Profesor] miał licznych asystentów, ale reguła była taka, że kto pierwszy nosił teczkę, ten pierwszy doktorat robił. Hierarchia była po prostu. Więc Pieniążek nosił za nim teczkę. I siedział w tym pierwszym rzędzie. Seidler coś tam mówił, mówił, mówił, w pewnym momencie zobaczył, że są jakieś znudzone miny i mówi: „Te, student” Bo on tak mówił: „Te, student, rozumiesz, co ja mówię?” Student mówi: „Tak jest, panie Rektorze. Tak, rozumiem” „No, widzisz. Ty rozumiesz. A Pieniążek nie rozumie” Albo przerwa między wykładami, profesor: „Student, masz coś zapalić?” – „Nie” – „To wyślemy Pieniążka, przyniesie nam papierosy” No i Pieniążek biegł po papierosy. Pieniążek był [wtedy] magistrem, Potem, za nim nosił teczkę kolega z mojego z roku, Maks Jelenkowski, późniejszy profesor prawa. I to było takie charakterystyczne, że właśnie szedł pierwszy profesor, a z tyłu za nim dwa metry [asystent] z teczuszką pana profesora rektora. No, były inne czasy. Był bardzo wyraźny wtedy stosunek mistrz –czeladnik. Na przykład profesor Ignatowicz od postępowania cywilnego z Warszawy przyjeżdżał pociągiem, bo samochody wtedy były rzadkością. Więc profesor Ignatowicz przyjeżdżał, po niego wychodził, wyjeżdżał

trolejbusem oczywiście [wówczas] pan magister, a późniejszy profesor Edward Skrętowicz. Odbierał pana profesora z pociągu, brał taksówkę, wiozł do domu profesorskiego. I potem rano przyjeżdżał po pana profesora, [jechali] na wydział, potem, z wydziału znowu do pociągu. I tak dalej. Tak był wtedy. Taka celebracja troszeczkę przedwojenna w stylu: przyjechał pan dziedzic, a tu stangret, czy jakiś tam kierowca osobisty się nim zajmował. No, ale dzięki temu ci ludzie naprawdę tę swoją wiedzę przekazywali. Od Seidlera wyszedł profesor Korobowicz, profesor Pieniążek, profesor Jelenkowski, profesor Marek Żmigrodzki, też sławetna postać. Profesor Mazurkiewicz, od historii państwa i prawa, też wybitny specjalista, który mnie uczył i jeszcze paru innych, już mi nieznanych. Tak, że naprawdę kariera zależała od profesora. Profesor był poza układami partyjnymi. Nie wziął sobie człowieka, którego mu Sekretarz KW zlecił. To nie wchodziło w rachubę. Człowiek, którego on sobie wybrał i, którego prowadził musiał mieć „pod czaszką” Musiał być naprawdę zdolny. Prowadził go po kolejnych stopniach naukowych. To byli właśnie ci starzy profesorowie. Ponieważ mam kontakt ze światem naukowym nieustający, to wiem, że dzisiaj to jest zupełnie inaczej. Niestety. I stąd poziom nauki taki jest, jaki jest. Praca doktorska –jak ktoś zrobił doktorat, to był gość, to naprawdę musiał być na poziomie. Nie było takiego kumoterstwa, że dzwoni [się] do koleżanki, żeby dobrą recenzję dała. Nie. Absolutnie. Oblewano doktoraty. To nie było takie proste. Trzeba było doktorat wypieścić To był naprawdę ciężki, ciężki egzamin.

8. Władysław Kozdra i Grzegorz Seidler

[Profesor Seidler] Zbudował nam miasteczko akademickie, pierwsze tego typu w Polsce. Cały kampus. To były no czasy, o których chyba marzy obecna władza, tak właśnie wyglądał sojusz „ołtarza”z „tronem”. I dawał efekty. „Ołtarzem”w tym wypadku była partia, a „tronem”nauka, uczelnia. Seidler miał świetne stosunki z Kozdrą ówczesnym I Sekretarzem KW. Kozdra był prostym chłopem spod Rzeszowa. Prymitywem totalnym. Można powiedzieć, że antytalentem w ogóle w sensie językowym, intelektualny. Ale Kozdra wykonał kilka bardzo dobrych ruchów. Na przykład postanowił zmienić oblicze wsi lubelskiej. On to firmował, ale to jego ludzie wymyślili akcję: „Zmieniamy oblicze wsi lubelskiej”. I wtedy dopiero zaczęła się budowa dróg asfaltowych na Lubelszczyźnie, bo tak, to były polne drogi. To jest koniec lat sześćdziesiątych, kiedy ruszają tak zwane „czyny społeczne” na Lubelszczyźnie. W ramach tych „czynów”buduje się drogi do wsi, do zapadłych wsi na prowincji chełmskiej, hrubieszowskiej, zamojskiej, tomaszowskiej i tak dalej. Do tych wszystkich wsi ruszają autobusy PKS-u. Wtedy w ogóle dróg nie było, tylko drogi główne. Budował szkoły „tysiąclatki”na Lubelszczyźnie. To był wielki awans cywilizacyjny. Kozdra przyjaźnił się z profesorem Krwawiczem. Dzięki temu mieliśmy najlepszą okulistykę w Polsce. Krwawicz wymyślił taki aparat do krioziabiegów, pierwszy w Polsce. Przy pomocy zamrażania zdejmował zaćmę. Ratował ludziom wzrok. Tu pielgrzymki z całej Polski przyjeżdżały do niego. Krwawicz był rzeźnikiem

jeśli chodzi o polowania i Kozdra też polował. Jeździli obaj niemal co sobotę. Dla ówczesnej elity, w tamtych latach polowanie, oczywiście z alkoholem, to była największa przygoda. Wszyscy polowali. I co Krwawicz powiedział, to Kozdra robił. Wszystko miał tutaj –budynki, aparaturę i tak dalej. Tak samo UMCS. Kozdra, ten niepiśmienny chyba na początku, po wojnie chłop, niewykształcony –dla niego Seidler, to był tak, jak dla papieża dla biskupów, czy księży. Patrzył w niego oczami zdumionymi. Parę razy, widziałem ten wzrok. Po prostu to był wzrok człowieka, który przed wielkością tego drugiego pada na kolana. I Seidler wykonał gest pod tytułem budowa miasteczka akademickiego. To on przekonał Kozdrę do tego, żeby pieniądze rzeczywiście się znalazły. I dzięki temu mamy miasteczko. Rektor był wtedy postacią dominującą. To nie dzisiejszy rektor, z całym szacunkiem dla profesora Michałowskiego, którego znam osobiście i szanuje, ale dzisiaj, rektor jest księgowym, buchalterem. Liczy pieniądze przede wszystkim, żeby to wszystko zgrać. A wtedy rektor podejmował decyzje właśnie w sprawach inwestycyjnych. Podejmował decyzje w sprawach awansów. Seidler bardzo stawiał na kadrę naukową. Jakość tej kadry. Bardzo ciągnął do góry wszystkich. Wydawnictwa –to wszystko Seidler zaczynał tak na dobrą sprawę. Tak, że ja jestem ciągle pod jego urokiem. Zwłaszcza, że miałem okazje zrobić z nim ze dwa wywiady w życiu. I to takie bardzo istotne. Pierwszy, kiedy odszedł ze stanowiska rektora i przeszedł na emeryturę. Potem namówiłem Iżę Wlazłowską, żeby napisała o nim książkę. Co się wydarzyło. I teraz widzę, że profesor Tokarczyk napisał też taką książkę „Seidler w anegdotach” Bardzo ciekawą. Tak, że dyskusja, czy Seidler powinien mieć skwerek czy pomnik, to w ogóle jest dla mnie totalną bzdurą, bo to człowiek, który zrobił dla Lubelszczyzny ogromnie dużo. Mnóstwo ludzi wykształcił. A zarzuty, że był członkiem Partii i egzekutywy? Chciałbym tylko powiedzieć, że można to odnieść do czasów przedwojennych. Piłsudski był w armii austriackiej, to jak można by go określać? Dzisiaj wszyscy zafascynowani Piłsudskim, a on był agentem austriackim. Iluś ludzi przyszło z armii rosyjskiej i iluś z armii pruskiej. I nikt, ich o nic nie pytał. Zrobili fantastyczną Polskę i w 1920 roku obronili ją przed bolszewikami. Byli z różnych stron, mogli się wyzywać od Targowiczów, od zdrajców, ale nie robili tego. Walczyli o Polskę. Tak samo i Seidler. Można go wyzywać od komunistów, ale zrobił ogromną rzecz dla miasteczka, dla Lublina. Nie byłoby Rozhina i „Gongu 2” Nie byłoby kultury studenckiej, gdyby nie Seidler. To on pozwalał Rozhinowi na nieprawomyślne spektakle i teksty. Tak samo radio studenckie. To był facet na wielkim poziomie.

9. Początek pracy dziennikarskiej

Franek nie uczestniczył w balangach, czy tam imieninach, więc nie przyjaźniliśmy się takim sensie, ale spotykaliśmy się na studiach i cały czas lubiliśmy się. W tym budynku na Placu Litewskim 3 na górze była nasza główna baza przed ćwiczeniami, czy wykładami. Wtedy podstawą była książka i z Frankiem to też była ciągle wymiana książek. Co nowego wyszło? Coś kupić? Coś przeczytać? Myśmy się uczyli na

książkach. Może dlatego ta wiedza była i głębsza i szersza, niż internet dzisiaj. Książki były dostępne, tylko trzeba było umieć je znaleźć, [jeśli] się miało zaprzyjaźnionego pana księgarza w księgarni na rogu Szopena i Krakowskiego – słynna księgarnia lubelska – który zawsze pod ladą miał coś nowości dla swoich czytelników. To była największa księgarnia lubelska. Najsłynniejsza. Tu było wtedy centrum kulturalne Lublina, na rogu Krakowskiego i Szopena. Rozmawialiśmy i jakoś tak właśnie zbliżaliśmy się dziennikarsko. Ja byłem bardziej zaangażowany turystycznie, teatrem za bardzo się nie interesowałem. Nie uczestniczyłem w tym ruchu teatralnym. Ale właśnie spośród tych stu dwudziestu osób na roku było takie grono [osób], które się bliżej znało, przyjaźniło, lubiło. I właśnie to był też i Franek. Można powiedzieć, że ja już na piątym roku studiów zacząłem się zawodowo zajmować dziennikarstwem, mnie to wciągnęło. Ja tak patrzyłem na to wszystko, kim można być [po skończeniu prawa]: prokurator mi się nie podobał, bo trzeba było jeździć po wypadkach, a ja nie lubiłem krwi. Ponadto prokurator był wtedy jednoznacznie kojarzony z reżimem. Sędzia. Zawsze miałem wątpliwości, czy ten sędzia wie, co wyrokuję. Mieliśmy przecież zajęcia, praktyki. Czytało się te akta sprawy i nie można mieć w stu procentach pewności, że ten wyrok jest prawidłowy. I jednoosobowo go podejmować. Taka odpowiedzialność. Zwłaszcza w sprawach karnych. Bo w cywilnych, to jeszcze można, ale karnych? Oczywiście poza czystymi przypadkami typu zabił, ukradł, ale większość takich spraw jest zawsze wątpliwa. Adwokaci potrafią z przestępcy zrobić ofiarę i odwrotnie. W związku z tym tak od trzeciego roku studiów prawo mi się już nie podobało i nie bardzo sobie siebie tu wyobrażałem. Pojechaliśmy, trochę na zasadzie takiej zabawy studenckiej, byliśmy w Warszawie w jednym ministerstwie i w drugim. Miałem szansę się znaleźć w kole dyplomatycznym, miałem szansę się uczyć. Ale na szczęście nie zostałem, chociaż wygrałem te wszystkie przedbiegi. A koledzy zostali ambasadorami. Więc szukałem sobie miejsca. Gdzie? Kim być po studiach? I dziennikarstwo mi się spodobało. Bo po pierwsze ja jestem z natury rzeczy anarchista i wolnym człowiekiem, więc przy biurku w pracy od ósmej do trzeciej się nie widziałem, broń Boże. To po pierwsze. Po drugie, świat w zasięgu ręki. Ludzie. Ciekawość świata. Jeśli ktoś mnie pytał, co jest takim pierwszym krokiem do dziennikarstwa, to jest ciekawość świata, ciekawość ludzi. Jeśli nie masz w sobie tej ciekawości, to nigdy nie będziesz dobrym dziennikarzem. Lubiłem wycieczki. Lubiłem historie. Lubiłem grzebać. Po liceum zastanawiałem się nawet, czy nie pójść na archeologię śródziemnomorską. Złożyłem papiery do profesora Kazimierza Michałowskiego, który kopał w Egipcie i miał wielkie sukcesy. Nawet mnie przyjęli tam, ale zrezygnowałem. Poszedłem na prawo, ale ciągnął mnie świat. Ciągnęła mnie opowieść o tym, co można przeżyć, zobaczyć, z kim się spotkać. Koledzy szukali możliwości, żeby gdzieś tam pójść na aplikacje taką, czy siaką. A ja, nie. I Franek też nie. Tak się zgadywaliśmy, że to nie dla nas. Tak gdzieś od trzeciego roku studiów już wiedziałem. Zacząłem pisać w „Konfrontacjach” Potem przyjechał jakiś człowiek z „itd” do nas na spotkanie. Koledzy

wypchnęli mnie, ze dwadzieścia osób nas tam stało z roku, żebym z nim rozmawiał o tym, co się dzieje na studiach: „Stachu, to idź tam, bo ty piszesz. Bo ty za dziennikarza robisz.” Poszedłem, zacząłem z nim rozmawiać. Potem czytam w tym „itd” i siebie nie poznaję – ja tego nie mówiłem, to nie o mnie. Tak to pięknie wyszło. Napisałem coś do „itd” tak trochę polemicznie, tak trochę, inaczej. I oni to wydrukowali. Już nie pamiętam, kto był wtedy naczelnym „itd” ale to jeszcze nie był Kwaśniewski. Napisał mi, że jak mam ochotę, to mogę pisać częściej. Zacząłem pisać takie rzeczy informacyjne, co się dzieje w Lublinie. Zaczynałem od informacji, a Franio zaczynał od recenzji. Był o wiele lepszy ode mnie. Zacząłem się specjalizować w informacji. Potem przychodzili do nas z „Konfrontacji” z „Kuriera” przychodził Gnot na rozmowy z nami, kto by chciał tam pracować po studiach. I przychodził ze „Sztandaru” taki człowiek, który się nazywał Józek Lis. Był wtedy kierownikiem działu miejskiego w „Sztandarze” Bardzo sympatyczny. I druga osoba, Danusia Gudebska. Niesamowicie ciekawy człowiek. Zmarnowała sobie życie w Zamościu, potem w Lublinie. A powinna gdzieś w Warszawie, w jakichś bardzo intelektualnych pismach pracować. W tym ówczesnym światku dziennikarskim było bardzo dużo samotnych kobiet. I to był problem, bo poziom intelektualny tych kobiet był o wiele wyższy, niż facetów, którzy ewentualnie starali się o ich zainteresowanie. To się rozmijało i zostawały same. W dziale kulturalnym była znakomita pani Mirosława Knorr z Chełma. Poetka wybitna, fantastyczna dziennikarka. Samotna. Wiera Korneluk, też taka dość znana pisarka lubelska z tamtego okresu. Samotna. Danka Gudebska, samotna. Danusia Grzelak, samotna. Todzia Obuchowska z Komorochoy, taka miejscowość pod Zamościem w stronę Skierbieszowa. Ojciec, partyzant AK represjonowany po wojnie bardzo za przynależność do oddziału, bodajże, „Podkowy” Samotna. Przychodziły młode dziewczyny, piękne, mądre. I życie miało.

10. Początek pracy w „Sztandarze Ludu”

Ja wylądowałem ostatecznie w „Sztandarze” bo mnie namówili i –co było ważne – etat był od razu. A w „Kurierze” nie było etatu tylko współpraca. I właśnie z tego naszego roku załapał się Franek i ja. Wylądowałem w dziale terenowym, zacząłem pisać jakieś informacje z terenu. Były dwa samochody, którymi podróżowaliśmy po tak zwanym terenie. Pierwszy mój wyjazd był do Parczewa. To było jakieś święto, już nie pamiętam, czy 1 maja, czy 22 lipca, przyjechałem do tego Parczewa, [gdzie] w życiu nie byłem i pamiętam rynek. Obraz, jak z filmów przedwojennych, czyli kocie łby i cały rynek wypełniony chłopskimi furmankami. Był targ. Błoto, konie. Zapachy. I tłum ludzi takich [jak] z Chełmońskiego. Kobiety – chusta na głowie, zapaska, długie spódnice, kaftan tak zwany. Faceci w jakichś takich oficerkach albo kaloszach. Z batami w rękę. Zaszokował mnie ten Parczew. Totalnie. Miałem zrobić materiał z życia tego miasta. Jakaś informację napisałem, ale już w tej chwili nie pamiętam, co dokładnie. To był mój w ogóle pierwszy taki wyjazd. Drugim wyjazdem był Hrubieszów. Właśnie stąd moja taka wielka sympatia do Hrubieszowa, bo pojechałem do muzeum, do pani

Helenki. Nawet nie do pani Helenki, ale do pana Piątkaka poszedłem jako pierwszego, do Towarzystwa Regionalnego Hrubieszowskiego. To było moje pierwsze spotkanie z Hrubieszowem. I ci ludzie mnie zauroczyli. Spróbujmy sobie wyobrazić warunki czterdzieści lat temu, pokoiki i meble takie w strasznym stanie. Bieda i nędza było to wszystko jeszcze. Oni siedzieli w takim lokaliku przy dworku „Du Chateau” I pamiętam, faceci w garniturach takich właśnie powojennych, uczesanie też takie przedwojenne. I rozmawialiśmy o tym TRH. Wydali właśnie czwarty, czy piaty numer „Biuletynu TRH” i ja chciałem napisać o tym. O ich działalności wydawniczej. Pan Piątak siedział naprzeciwko mnie, szczupły taki facet, gdzieś w wieku pięćdziesiąt plus. I z taką potworną uniżonością się do mnie zwracał: „Panie redaktorze” To brzmiało dla mnie, jak by mówił: „Panie Profesorze” Ja tam przyjechałem pociągiem – „Pan redaktor, to taki pewnie zmęczony. To my śniadanie przygotowaliśmy” I śniadanie było takie na gazecie prawie, czyli chleb pokrojony w plastry i szynka. Nie było kłopotów jeszcze z szynką, więc szynka była taka, że dzisiaj, to w tych regionalnych wyrobach są gorsze. Bo była prawdziwa.

11. Hrubieszowscy regionaliści

To był może rok 1970. Bardzo sympatycznie w tym Hrubieszowie sobie pogadaliśmy. Oprowadzili mnie, zapoznali mnie z panią Helenką Bojarczuk, z panem Tadeuszem Orzechowskim, który był kierownikiem domu kultury w Hrubieszowie. Dom kultury bez domu kultury. To się przerodziło w przyjaźnie potem, bo to byli bardzo sympatyczni, życzliwi ludzie. Spragnienie kontaktu z obcymi. Żeby ktoś ich docenił. Żeby ktoś ich zauważył. Żeby w ogóle powiedział dobre słowo, że oni tu coś robią, że to jest ważne dla nich. Bardzo sympatyczni [ludzie]. Był na przykład taki pan Kasprzak – wtedy też go poznałem – który chyba od piętnastu lat bez przerwy zdobywał Mistrzostwo Polski w modelarstwie. To była wtedy bardzo popularna dziedzina, mnóstwo młodzieży uczyło się modelarstwa samolotowego. Mieli pracownię, sklejki, kleje, farby. Dla chłopaków i dziewcząt to była fantastyczna sprawa. I on zdobywał mistrzostwa, gdzieś tam go chwalili, ale w tym Hrubieszowie, to on był Józek, to był w ogóle, nikt. Józek. Poznałem też Kazimierza Łukiewicza, który wtedy był wiceburmistrzem. Fanatyk historii. Niesamowity człowiek. Do dzisiaj się przyjaźnimy bardzo. Przeszedł już na emeryturę, ale długie lata był dyrektorem środowiskowego domu pomocy. Ale przede wszystkim członkiem zarządu TRH, regionalistą. I takim opiekunem pamięci żydowskiego Hrubieszowa. Niesamowity człowiek, który tu, w Hrubieszowie przełamał wszelkie antysemickie bariery. Doprowadził do tego, że przecież co roku przyjeżdża zaprzyjaźniona młodzież z Izraela do liceum w Hrubieszowie. Że młodzież z Hrubieszowa lata do Izraela. Że burmistrz, każdy nowy burmistrz jedzie do Izraela. Jest bardzo silne środowisko Żydów hrubieszowskich w Izraelu. Szefem jest taki już staruszek, nazywa się, bodajże Omri Oremberg, są w kontakcie telefonicznym prawie co miesiąc. Nie ma takiego miasta na Lubelszczyźnie, z którym Żydzi byliby tak zaprzyjaźnieni dzisiaj, jak

są z Hrubieszowem. I nikogo tam nie dziwi obecność Żydów w mieście, w strojach narodowych Izraela. Więcej, w ramach tych wizyt dzieciaków są dyskoteki, są wspólne rozgrywki sportowe, są obiady, które polska i izraelska młodzież razem je. Dopiero teraz Parczew, jako drugie miasto, usiłuje coś takiego robić. Pierwszy taki dzień pamięci, który [zorganizowała] pani dyrektor pierwszego liceum imienia Kopernika w Parczewie, polegał też na spotkaniu z młodzieżą w szkole i na wspólnych występach artystycznych. Przyjechało do niej chyba ze trzystu młodych Żydów. A potem miałem przyjemność być na takim bardzo wzruszającym występie, ceremonii pamięci na kirkucie parczewskim, który dzisiaj jest parkiem miejskim. Muszę powiedzieć że kiedy licealistka z Izraela śpiewała kadisz na tym kirkucie, to ścisnęło za serce. Przepiękny pomysł mieli na upamiętnienie właśnie Żydów z Parczewa. Przed wojną mieszkało ich tam ponad pięć tysięcy. Przeżyło kilkunastu zaledwie. Kilku dzięki pomocy mieszkańców Parczewa, część przeżyła w lasach parczewskich. Ale wzruszające było też dlatego, że w Izraelu wyszukano jedną z rodzin, która zginęła w czasie Holokaustu. Ta rodzina [liczyła] siedemnaście osób. Odtworzono drzewo genealogiczne i jedna jeszcze żyjąca na świecie potomkini tego rodu przyjechała tutaj z tą młodzieżą. Ona stała przy pomniku, a prowadząca imprezę nauczycielka czytała nazwisko, po czym wychodziła dziewczyna albo chłopiec. Na karcie formatu A4 mieli przygotowany krótki życiorys tej osoby i czytali: „Born in Parczew” I potem, niestety: „Dead in Auschwitz” Sobibór albo inne jeszcze okoliczności. I ten chłopiec, czy dziewczyna, która czytała ten życiorys, miała w ręku goździk, podchodziła do tej potomkini i dawała jej goździk. I te siedemnaście goździków po zakończeniu [uroczystości] ta kobieta złożyła na pomniku. Zupełnie inaczej, niż u nas. I wtedy młodzież otoczyła ją. Ona się rozplakała oczywiście. A młodzież otoczyła ją takim właśnie głośnym śmiechem. Jakby dając jej do zrozumienia, że życie zwycięża jednak to, co się stało, ten Holokaust. I Polacy, którzy tam byli, nauczyciele i władze, mieli łzy w oczach. Niebywale wzruszający moment. I po raz pierwszy w historii zabrzmiał na ulicach Parczewa hymn Izraela, odśpiewany przez młodzież a capella.

12. Nagle słyszę, że Franio idzie do Zamościa

Wracając do pracy dziennikarskiej i do spotkania z Frankiem. Mnie, jak mówię pasjonowała historia, dużo [na ten temat] wiedziałem. Wobec tego, po jakichś trzech, czy czterech latach były jakieś roszady redakcyjne i zaproponowali mnie, modemu człowiekowi, żebym został kierownikiem działu terenowego. I nagle słyszę, że Franio idzie do Zamościa. „Sztandar” miał oddziały w Chełmie, w Zamościu, w Białej Podlaskiej, w Łukowie, w Puławach. Dlaczego idzie do Zamościa? Nigdy do tego do końca nie wiedziałem, ale lejtmotywy były też jego sprawy osobiste. Już wtedy miał kontakt z Jadzią, swoją [przyszłą] małżonką. Jadzia była córką komendanta Technicznej Szkoły Wojsk Lotniczych w Zamościu i Franio się tam po prostu [przeniósł]. Będąc w Zamościu oczywiście spiknął się z kolegą Kazimierczukiem

Zdzisławem, który pochodził z Telatyna pod Tomaszowem. Kazimierczuk to też taka postać lubelskiego dziennikarstwa, która niestety zgasła wskutek tego, że została tu, a nie była ekspansywna. Świetne pióro. Genialny reportażysta. Właśnie reportażysta. On mi otwierał oczy na reportaż, bardzo mnie namawiał i Franka też wciągnął w reportaż. Po raz pierwszy Franek usłyszał od niego o reportażu, bo przecież najpierw był teatr. Zdzicho Kazimierczuk jest znany z tego, że jako pierwszy, przed jeszcze Ficowskim, przed innymi, napisał książkę o Papuszy, o Cyganach. Dotarł do tej Papuszy, dotarł do Cyganów. Pozwolili mu napisać książkę i otworzyli się przed nim. To był rok 1973, czy 1974. Ta książka jest kompletnie zapomniana. I niestety, przy okazji nowego filmu o Papuszy w ogóle [przemilczana]. A Zdzicha połączyła z Frankiem chęć rozmowy. Oni obaj potrafili gadać całą noc. Mówię: gadać, nie w sensie pejoratywnym, tylko tak się wtedy mówiło. Ja nie byłem w tym towarzyszem i nie miałem sumienia do takich długich, nocnych rozmów, zawsze wolałem się wyspać, powiem szczerze. Parę razy uczestniczyłem w tych ich rozmowach alkoholowo-papierosowych. Bo Franek palił wtedy mnóstwo. Nie pil za dużo. Broń Boże! Ale palił całą noc. Te całonocne rozmowy to były rozmowy twórcze. Coś z tego wynikało. To nie były takie rozmowy puste, o byle czym. Rozmawiano warsztacie, rozmawiano o książkach, właśnie. Wańkowicz był guru absolutnym. Każdy musiał się z tego Wańkowicza spowiadać, odnosić do niego. Pamiętam do dziś taką scenę, jak siedzi Kazimierczuk na podłodze i jego żona też na podłodze, Franek, ja i jeszcze ktoś był, nie pamiętam, kto. I Kazimierczuk tłumaczył nam, jak Wańkowicz interpretuje konstruowanie reportażu. Że reportaż robi się jak mozaikę, którą się układa potem w całość. Wiemy bardzo dużo, mamy mnóstwo materiałów, ale to trzeba wszystko poukładać, żeby stanowiło całość. I żeby ta całość była atrakcyjna dla czytelnika, nie nudziła go. Żeby to wszystko było pięknie napisane, dobrą polszczyzną. To były fantastyczne rozmowy. Potem się zdarzyło tak, że Franek jeszcze obsługiwał Tomaszów. I pamiętam, zadzwonił do mnie, jak miałem jechać do Tomaszowa, właśnie w sprawach historycznych, w rocznicę bitwy pod Tomaszowem z 1939 roku. Umówiliśmy się już w Tomaszowie, spotkaliśmy się. I mieliśmy taki właśnie cały dzień chodzony po tym Tomaszowie. Zaprowadził mnie do domu kultury, w którym był zaprzyjaźniony z ludźmi. Kierownikiem był bardzo sympatyczny Tadzio Borkowski. Potem do pana Antoniego. Potem zjedliśmy obiad na rynku w Tomaszowie w restauracji „Swojska” przy skrzyżowaniu ulic w stronę Józefowa. Potem mnie zabrał na spotkanie do liceum pielęgniarskiego, żebyśmy rozmawiali i opowiadali uczniom o tym, jak się robi gazetę. Franio wtedy dobrze się czuł w tym Tomaszowie i w tym Zamościu. W Zamościu z kolei bardzo często spotykał się z ludźmi kultury, czyli artystami. Tam był głód ruchu teatralnego, tworzyła się muzyka jazzowa u Kosza, więc Franio ciągle był obecny w tych ruchach muzycznych. Ale ponieważ był poza Lublinem, to kontakty nasze były rzadsze. I potem był rok 1975 albo 1976, Zdzicha Kazimierczuka „rozsadzało” nawet jeździliśmy razem do Koszalina, żeby się przenieść do pracy, szukaliśmy wtedy miejsca. Ja na przykład

miałem już etat w „Gazecie Krakowskiej” Ale żona robiła doktorat na UMCS-ie. Miała zaawansowaną pracę doktorską, a na UJ nie było etatów, więc odmówiłem. Pojechaliśmy jeszcze w międzyczasie z Kazimierzem –też niesamowita podróż, bo całonocna –pociągiem do Koszalina. W Koszalinie, w „Głosie Koszalina”praktycznie byliśmy już zatrudnieni, ale wróciliśmy do Lublina.

13. Epizod białostocki

I wtedy w Białymstoku nastąpiła rewolucja polityczna. Mianowicie Gierek miał dość Białorusinów rządzących województwem białostockim. Cała Partia i aparat władzy to byli Białorusini. Postanowił wysłać tam Polaków. Poszedł Zdzisław Kurowski przewodniczący zarządu głównego ZMW. Bardzo mądry chłopak. I patriota. Bardzo propolski, odczytany, kulturalny. I jak tylko został tym I-szym Sekretarzem, postanowił, że tych wszystkich Białorusinów wysiedli. I zrobił zaciąg z Polski. Żeby przyjeżdżali Polacy i żeby tam obejmowali stanowiska. „Gazeta Współczesna”w Białymstoku była opanowana przez Białorusinów. Zmieniła naczelnego i naczelnicy zaczął też rozsyłać wici. Radio Białystok, zaczęło rozsyłać wici. Pierwszy z radia z Lublina pojechał zastępca naczelnego, Weroniczak. Jak Weroniczak przyjechał tutaj, to oczywiście w „Norze”opowiadał o tym Białymstoku. I Zdzicho Kazimierz, który też był bywalcem częstym w „Norze”o tym Białymstoku [usłyszał] i pierwszy do Białegostoku pojechał. Za chwilę przyjechał i zaczął robić zaciąg do „Gazety Współczesnej” Kurowski dawał mieszkania, dawał lepsze pieniądze. No i nowy teren, nowe życie. Pojechał z nim Franio Piątkowski, Danusia Gudebska oraz Jacek Grün, [wówczas] taka młoda, wschodząca gwiazda dziennikarstwa, nieżyjący już niestety, ale do ostatniej chwili działacz kulturalny w Białymstoku. Po dwóch, czy trzech miesiącach Franio zadzwonił, żeby przyjechać do Białegostoku, że może bym się tam zainstalował. Pamiętam, że to też [była] taka podróż zupełnie jak bym do Moskwy jechał. Ludzie wsiadający do pociągu mniej więcej od Zambrowa to już mówili innym językiem. Albo po białorusku, albo po chachłacku. To były czasy, kiedy to było oczywiste, że tam mieszkają Białorusini i mówią innym językiem. Nie kryli się z tym w ogóle. Bo dzisiaj to już jest obciach mówić po białorusku, a wtedy, nie. Prawosławni duchowni zaczęli wsiadać do pociągu. No, w ogóle inny świat. I pamiętam, w tym Białymstoku Franio nas przyjął z Danusią Gudebską na dworcu, ja jeszcze z kimś pojechałem, ale nie pamiętam z kim. Szliśmy z dworca do siedziby redakcji, a tam Kurowski organizował „Wystawę Krajową”, powstawały nowe obiekty, zrobiono taką halę wystawową, już teatr się budował nowy i Franio szedł taki dumny i opowiadał. Opowiadał tak dumnie, jak to Białystok rośnie tu polskością. Ale mi się to nie podobało, ten Białystok. Takie strasznie zapyziałe miasteczko, to po pierwsze. Po drugie, nie bardzo mi odpowiadała ta atmosfera białorusko-polska. Jakoś tam tak się to czuło na każdym kroku. Oni bez przerwy nam opowiadali o tym konflikcie –tu wyrzucili Białorusina, tu Białorusin Polaków powyrzucał. Tyle tylko, że poszliśmy na obiad i ja po raz pierwszy w życiu wtedy te dania białostockie, czyli tę kizkę ziemniaczaną sławetną i kołduny

prawdziwe [jadłem]. Ja wróciłem, a Franio został. Został już tak trwale. Dostali tam mieszkania, tam się osiedlili z rodzinami. I byli tam do przełomu, do 1980. Zdzisław Kazimierczuk i Danka Gudebska wrócili tutaj, a Franio jeszcze został. Dlaczego do 1980 roku? Bo w 1980 roku przyszedł upadek Gierka, były rozruchy, wybuchła Solidarność. Pozmieniały się tam władze i dlatego wrócili tutaj. A Franio w Białymstoku został. Przyszedł Klemens Krzyżagórski do Białegostoku, ponieważ postanowiono utworzyć pismo „Kontrasty” Klemens był w „Odrze” w Opolu. Był facetem, no wielkiej postury, dwa metry wzrostu, sto pięćdziesiąt kilo żywej wagi. Jeden z najlepszych polskich, tak uważam, redaktorów gazet. Wielki człowiek w sensie fizycznym i wielki duchowo. No i Klemens zrobił w ciągu roku, półtora najlepsze pismo reportażowe w Polsce. Do dzisiaj nie ma takiego, bo to był wyłącznie reportaż. Tam nie było informacji. Tam nie było publicystyki. To był reportaż. „Kontrasty” Najlepsi dziennikarze polscy to pisali. Najlepsi autorzy. Wychował mnóstwo ludzi też takich bardzo znaczących w historii. I ten Klemens Krzyżagórski też miał metodę rozmów przy alkoholu. Dorwał Franka, a wcześniej w ogóle się nie znali, i po całonocnej rozmowie doszedł do wniosku, że Franek ma być zastępcą naczelnego u niego. Bo nikt tak się nie zna. Bo nikt nie jest tak czytany. Bo nikt nie jest tak teorią już obstawiony, jak Franciszek Piątkowski. I zaczęli robić to doskonałe pismo razem. Tak to trwało do upadku komuny, a potem się to wszystko posypało.

14. „Tygodnik Zamojski”

Zdzicho do „Sztandaru” wrócić nie mógł, bo nie było tam miejsca, ale cały czas był w Zamościu. Poszedł do „Tygodnika Zamojskiego” i tam został zastępcą naczelnego. Redaktorem naczelnym został Andrzej Szwabe, że tak powiem, z poręki partyjnej, a Zdzicho został zastępcą naczelnego. I zaczął robić jeden z najlepszych tygodników w Polsce. Bo to Zdzicho Kazimierczuk go robił. Postawił na reportaż. On wychował Izabelę Wlazłowską. To jest jego dorobek. On jej otworzył drogę do sławy i promował ją na wszelki sposób. Pisała fantastyczne zaangażowane społecznie teksty. Tak bardzo, że na tym przykładzie można by powiedzieć, że te obiegowe opinie o ingerencji cenzury są mało wiarygodne. Bo cenzura dawała tyle luzu, ile autor chciał. Jeśli autor miał w sobie autocenzurę, to cenzura była niepotrzebna. Większość miała autocenzurę. Więc Izabela, pisała bardzo zaangażowane reportaże o ludziach, o problemach ludzi. O dzieciach porzuconych, o matkach, które sobie nie dają rady, o skrzywdzonych przez sądy. Dzięki temu ten tygodnik szedł w szalone nakłady, sprzedawało się po siedemdziesiąt, osiemdziesiąt tysięcy. To się czytało. Zdzicho dawał bardzo dużo historii – o AK, o stosunkach polsko-ukraińskich, także na temat stosunku Polaków do Żydów w czasie okupacji. To wszystko było w tygodniku, nie potrafię powiedzieć, które to są lata, ale pamiętam to, bo czytałem. Pamiętam takie relacje, wstrząsające dla mnie, o tym, jak Niemcy przyjeżdżali do wsi i zbierali dzieci. Rzucali dzieciom cukierki, dzieci jadły te cukierki, a potem mówili: „Pokażcie nam, gdzie są Żydzi.” I dzieci prowadziły. Potem tych Żydów wywożono na furmankach albo

też zabijano na oczach tychże dzieci. I to wszystko przeszło w tamtych latach przez „Tygodnik Zamojski” A teraz ani IPN, ani, że tak powiem, historycy jakoś do tego momentu nie sięgają. Wielki jest dorobek i wielki zasługi Kazimierczuka dla ziemi zamojskiej. Za „Tygodnik Zamojski” powinien dostać nie tylko tytuł honorowego zamościanina. Naprawdę, zrobił wielką pracę.

15. Nora

„Nora” to było stowarzyszenie pijących artystów, dziennikarzy i wszystkich innych, którzy „przytulali się” do tego klubu. Tam Leszek Aleksandrowicz grał na fortepianie, kolega Grześkowiak się prezentował. Przychodzili wszyscy z teatru. Aktorzy. Aktoreczki. Ludzie rozliczni. Oraz inne takie typy. Potem troszkę przychodziło ludzi z Radia Lublin i z gazet. Telewizji jeszcze nie było. Zasłużeni bywalcy tej „Nory” [przychodzili] codziennie prawie. Była Pani Krysia za bufetem, która do zeszytu wpisywała i na kredyt pięćdziesiątki wydawała. Ale trzeba było dostąpić tego zaszczytu, żeby być u Pani Krysi w zeszycie. To taka legendarna bufetowa, szefowa tej całej ferajny. Zygmunt Mikulski, wybitny nasz poeta lubelski, naprawdę doskonały, był tam stałym bywalcem. Leszek Siemion, któremu niestety, aż się zdarzyło prawie zejść w tej „Norze” kiedy dostał zawału i niestety nie przeżył go potem. Też zasłużony uczestnik życia towarzyskiego w „Norze” Czesio Klepacki szef SDP, też zasłużony. Mnóstwo takich pięknych postaci dziennikarskich, teatralnych, które tam „walczyły” Tam zaprzyjaźniliśmy się z Piotrkim Wysockim i z jego żoną. Piotrek dzielnie stawał w „Norze” Tak, że to były piękne czasy, bo naprawdę, mimo różnic światopoglądowych i politycznych, nie było tam tematu [polityki]. Po prostu się rozmawiało o przyjemnych sprawach, a nie o polityce. Poglądy nie dzieliły ludzi. Przychodził Gzella, który był tutaj jakby rzecznikiem prasowym kurii lubelskiej, takim korespondentem. „L’sservatore Romano” a z drugiej strony przychodził właśnie Czesio Klepacki, który był człowiekiem bardzo partyjnie zaangażowanym, ale dobrym dziennikarzem rolnym. Po prostu rozmawiano o życiu, o sporcie, o kulturze. Przede wszystkim, o kulturze. Były artystki z „Czartu” Przychodził cały zespół „Czartu” z Kaziem Pawełkiem, wtedy młodym człowiekiem, który dla niepoznaki pracował w „Głosie Budowlanych” To było takie piśmko zakładowe. Miał etat, ale żył z „Czartu” Później już młodsze pokolenie, „Loża 44” stawała w komplecie z Grześkiem Michalcem. Więc „Nora” była takim miejscem, gdzie się wykluwały idee, znajomości, przyjaźnie, czasami nieprzyjaźnie. Ale właśnie wszystkich ta „Nora” łączyła. Dopóki była.

16. Powstanie "Relacji"

Franio wrócił do Lublina. Początkowo nie bardzo miał gdzie pracować. Trochę pracował w „Sztandarze” potem się spotkał z Ludwikiem [własc. Jan] Czogałą. To był dyrektor WSK w Świdniku w czasie słynnych strajków, który jako jedyny chyba wtedy z tych menedżerów partyjnych strajkujących zakładów w Polsce powiedział władzy

ludowej: „Nie. Ja jestem z robotnikami” Za to, oczywiście, przestał być [dyrektorem]. Ale ponieważ był dyrektorem wielkiego zakładu lotniczego, który miał kontakty w całym świecie, w RWPG, to szybko się przestawił na prywatną przedsiębiorczość, na biznes i założył przedsiębiorstwo „Agrohansa” w Lublinie słynne w tamtych latach. „Agrohansa” chciała wykorzystać potencjał surowcowy Lubelszczyzny i eksportować na zachód [produkty] naszego rolnictwa. Stał się wtedy czołowym kapitalistą Lubelszczyzny. Z kontem i siedzibą spółki w Luksemburgu. I w pewnym momencie, spotkał się z Franciszkiem. Franciszek go przekonał, że taka nowa, wielka firma wchodząca na rynek powinna mieć własną prasę., Czogała dał się na to namówić i tak powstały „Relacje” Początki były takie, że właśnie została zlikwidowana „Kamena” A do zlikwidowania „Kamena” przyczynił się Franio, który w sposób bardzo taki, można powiedzieć, dobitny zaatakował Marka Jaworskiego. Że „Kamena” jest passé, że „Kamena” przestała być „Kamena” A Franio był naczelnym w „Relacjach” i zaczął robić to, co zawsze. Czyli zaczął ściągać najlepsze pióra, żeby zrobić z „Relacji” klasyczny lubelski tygodnik reportażowy. Więc ściągnął tam przede wszystkim Wlazłowską. Ściągnął Ewę Czerwińską, którą też bardzo mocno wylansował. Ściągnął Sulisza. Byli jeszcze tacy ludzie, jak Lech Przychodzki. Ale „Relacje” to był już czas rynkowy i, niestety ludzie tego nie kupowali. Zaczęły się kłopoty finansowe, zaczęły się problemy z Czogałą. Franio się z Czogałą rozstał. Ja też napisałem w „Relacjach” parę ciekawych tekstów. Między innymi taki tekst, który nawet potem się znalazł w leksykonach – „Czerwona Moskwa i biały Londyn” o dwóch wsiach na Roztoczu: Hosznia Ordynacka i Huta Turobińska. Huta była czerwona w czasie wojny i po wojnie, a Hosznia była akowska. I to się tak zapętiło, że aż doszło do pacyfikacji Hoszni spowodowanej przez ludzi z PZPR, PPR i AL, z UB. były ofiary. To były takie nieciekawe historie. Pan profesor Ryszard Tokarczyk z wielkim uznaniem przyjął ten tekst, napisał entuzjastyczne recenzje, bo gdzieś stamtąd pochodził, a nawet o tym nie wiedział. To się ukazało w „Relacjach” A to jeszcze był PRL.

17. Ekspres Fakty

I mamy już niepodległą Polskę. Tak się zrobiło, że ja po walce o tytuł „Sztandar Ludu” którą przeprowadziłem skutecznie i prawie jednoosobowo, dzięki czemu dostaliśmy tytuł, z mojej inicjatywy przekształcony w „Dziennik Lubelski” kiedy doszło do konfliktu z SdRP [Socjaldemokracja Rzeczypospolitej Polskiej] reprezentowaną przez pana Malinowskiego, który chciał przejąć ten tytuł, odszedłem z gazety, z mojego wydawnictwa, z mojego dziennika. Po przesowaniu odszedłem do „Kuriera” do „Multico” Jakubasa. Zacząłem redagować „Ekspres Fakty” To był pismo niestety od początku skazane na upadek. Szanse były, ale Jakubasowi na tym nie zależało i nie chciał zbytnio się w to angażować. [Jednak] ja chciałem zrobić z tego jakiś dobry tytuł i zaprosiłem do współpracy Franka oraz Wojtka Samolińskiego, znaną postać opozycji lubelskiej. Co zostało zresztą przez „Wyborczą” przyjęte jakimiś takimi

dziwnymi tekstami –jak to, tu Samoliński, taka postać pomnikowa opozycji, rzecznik Komisji Regionalnej „Solidarności” przed stanem wojennym i w stanie wojennym idzie pracować z „komuchami” Jadczakiem i Piątkowskim? Ale uważam, że ten eksperyment wszystkim trzem nam się opłacił. Dlatego, że Franek został zastępcą z Wojtkiem i robiliśmy bardzo ciekawe piśmiennictwo, gazetę, która wprowadziła wiele nowości. Chociażby te tak zwane „strony miejskie” czyli wydania puławskie, kraśnickie. Pierwsi. Przed „Wyborczą” przed „Dziennikiem” Mieliśmy fantastycznych kolegów. Waldek Dras, poeta, nieżyjący. Świetny człowiek. Bardzo, bardzo sympatyczny. Mieliśmy w swoim składzie też takiego dobrego dziennikarza jakim był Andrzej Kowalczyk, który [pracował] w „Kurierze” Bardzo zdolny człowiek. Leszek Mościbrodzki, dzięki któremu stałym bywalcem redakcji był Bogdan Łazuka. Potrafił ściągnąć do nas bardzo ciekawych [ludzi], Lech Jakubowicz współpracował z nami. Bardzo ciekawy zespół, młodzi ludzie. Ale też mieliśmy u siebie dzień przy telefonie Tuska. Powiem szczerze, że współpraca wtedy z Franiem i z Wojtkiem, to była czysta przyjemność. Dlatego, że obaj maksymalnie wysoko postawili poprzeczkę. Świetnie nam się pracowało. Naprawdę. Potem nas rozwiązał właśnie „Budimex” Prezes doszedł do wniosku że Budimex będzie się zajmował budownictwem, a nie gazetami. Padliśmy. To znaczy –zawiesiliśmy działalność. I ja z Wojtkiem zabrałem się za indywidualne kariery pod tytułem własne wydawnictwo, działalność książkowa. Wojtek ma dzisiaj firmę, która się zajmuje poligrafią, bo w zasadzie wyszedł z poligrafii z KUL i razem z Petitem pracował w konspiracji. A ja się zabrałem za pisanie książek.

18. To było jego spełnienie

W czasach „Ekspress Faktów” wróciliśmy do takich bliskich, prawie codziennych kontaktów po domach, z jego znakomitą żoną, Jadzią. Franio po tym epizodzie postanowił wrócić do gazet. Najpierw zatrudnił się w „Dzienniku” potem w „Kurierze” A potem wyemancypował się z dziennikarstwa i poszedł na uczelnię. Notabene, jako dziennikarz „Dziennika Wschodniego” najpierw został zaangażowany w szkole Wańkowicza. Został zaangażowany, bardzo, że tak powiem, dobitnie, w tym sensie, że ówczesny dziekan miał zajęcia z reportażu, a nie miał [o tym] zielonego pojęcia. Więc pamiętam, że Franio przekazywał mi wszystkie książki o teorii reportażu, żeby się nauczył czegokolwiek. Po szkole Wańkowicza, gdzie pracowali także ludzie z UMCS-u, przeszedł na Wydział Politologii. I to było chyba wreszcie takie jego spełnienie, jeśli chodzi o pracę zawodową. Bo miał to, co lubił. Czyli mógł opowiadać młodym ludziom o reportażu. A on kochał opowiadać. Kochał mówić o reportażu. Koledzy go czasami tak troszeczkę lekceważyli za te opowieści. A Franio kochał opowiadać. Zapałał się. I tu, dostał możliwość. Kiedy spotykaliśmy się od czasu, do czasu gdzieś na kawie, opowiadał mi o tych gazetkach robionych przez studentów. Chwalił mi się nazwiskami tych wschodzących gwiazd dziennikarstwa, które spod jego ręki wychodzą. A potem wpadł chyba na pomysł życia, czyli na „Akademię

Reportażu”w Siennicy Różanej. Jak zwykle w naszym kraju działa zbieg okoliczności, a nie system. Franio miał tam posiadłość, hacjendę po dziadkach Jadzi. Kiedyś był się zapoznał z wójtem sławetnym z Siennicy Różanej i wójt zauroczył się Franiem z tą jego elokwencją, a Franio wójtem. I tak powstała idea, żeby tam robić spotkania à propos Reja, à propos tradycji piśmiennictwa polskiego. I to dopiero było to, na co Franio całe życie pracował. Tu się spełnił. Ściągał tych ludzi, wybitnych dziennikarzy z całej Polski. Młodzież miała zachwyconą, zauroczoną, wpatrzoną w te wielkie tuzy dziennikarstwa. I jedyne, czego brakowało Franiowi, to pieniędzy, żeby to jeszcze rozszerzyć. Żeby to jeszcze obudować. I zrobić może taką całoroczną „Akademię”à la Gardzienice. Bo był nieustająco pod wrażeniem Staniewskiego. Bywał, oczywiście, u Staniewskiego. Promował Staniewskiego bardzo mocno. Staniewski był takim jego oczkiem w głowie. Kłócił się o Staniewskiego z władzami. Bardzo był z nim zaprzyjaźniony. Kiedyś mi zdradził, że jego ambicją jest zrobić całoroczną akademię reportażu w Gardzienicach. Tylko mówił, że niestety już lata uciekają. Czy zdąży przekonać władze? Czy zdąży [zdobyć] pieniądze? Ja mu zawsze mówiłem, że może by jakoś przez środki unijne spróbował się przedostać, ale atmosfery dla kultury nie było w środkach unijnych poza takimi typowymi, jak spektakl teatralny, noc kultury i tak dalej. Siłami wójta to też za słabo, chociaż potem i starosta się włączył. Później zaczęli się do Franka „przyklejać”ludzie, którzy chcieli wypłynąć na tej „Akademii Reportażu” Więc nagle pojawił się starosta Janusz Szpak, postać PSL-u, taka mniej więcej, jak Podkański. Od zawsze w PSL-u, już nie wiadomo, ile lat szefuje tam w powiecie krasnostawskim. Na szczęście Akademia Reportażu”mu się spodobała i z Franiem się zaprzyjaźnił, pomagał, na ile mógł. Ale do [realizacji] tego zamysłu, żeby stacjonarną „Akademię Reportażu”zrobić w Siennicy nie doszło. Przez moment zresztą, był taki epizod, że UMCS przymierzał się do stworzenia wydziału dziennikarstwa. I już prace były zaangażowane. Profesor Stępniać oczywiście, pani profesor –wtedy pani doktor, Lidia Przesmycka i profesor Edward Olszewski byli w to zaangażowani. Ale przekreśliła to wojna między Wydziałem Humanistycznym, a Politologią [o to], kto ma być organizatorem tego wydziału. Poloniści nie chcieli „wypuścić” politologia chciała „zabrać” No i tak się skończyło. Co się teraz dzieje z „Akademią Reportażu”nie wiem, Jadzia jest główną spadkobierczynią. Ja mam taki pomysł na pośmiertny „zamach”na Frania, , na jego twórczość. Bardzo mi zależy na tym, żeby jego osobę upamiętnić w formie pisanej i żeby to była pamięć taka kształcąca. Prawda jest też brutalna, że po kolei to środowisko dziennikarskie, które zaczynało w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych powoli, niestety, odchodzi. A też nie ma chętnych do tego, żeby to upamiętnić. Poza „Historią Mówioną” Więc może coś z moich planów wyjdzie. Konkludując, był wybitną osobowością. Jako człowiek i jako profesjonalista. Był wybitną osobowością z tego powodu, że był poza polityką. W sensie układów, walk, opcji. Zawsze interesował go sztuka. Czy to była sztuka teatralna. Czy to była sztuka dziennikarska. Czy to była sztuka reportażu. Chyba tylko muzyką zbytnio się nie interesował. Ale tak, wszelaka kultura była mu

bardzo bliska. A zwłaszcza jego miłością były teatr i reportaż, dziennikarstwo. I kiedy od czasu, do czasu patrzę na to, co on pisał, przeglądam gazety, to muszę powiedzieć, że w języku pisanim wyróżniała go literacka prawie nuta. To nie było czyste dziennikarstwo. To była literatura. Notabene wielokrotnie go namawiałem, że wydam mu zbiory jego reportaży, żeby je przygotował. Byliśmy umówieni. Siedzieliśmy w „McDonaldzie” bo tam nam najłatwiej było się spotkać, tak po drodze, duży parking i można się tam ukryć. Więc on w tym „McDonaldzie” obiecywał mi, zaklinał się, że to będzie. Nic z tego nie wyszło. Franio był za bardzo zajęty, żeby usiąść nad własną książką. A jeszcze był zafascynowany młodzieżą i tę gazetkę mi przynosił, pokazywał. I te nazwiska. U Frania, nie było innego określenia jak „światny” Wybitny dziennikarz. Wschodząca gwiazda. – „No, naprawdę, wiesz, to są znakomici przyszli dziennikarze” Był zauroczony pracą z młodzieżą. Odkrył u siebie talenty pedagogiczne, których nikt nie znał wcześniej. Chociaż był spełniony. Bo przecież i syna wychował dobrze i córkę wspaniale. Ale jednocześnie okazał się świetnym pedagogiem. I ta chęć wygadania się, wypowiedzenia tego, co wie, co umie. On się delectował swoim słowem. Nie w sensie narcystycznym, tylko w sensie profesjonalnym. To był gaduła. Klasyczny gaduła. Taki polski gaduła szlachecki sprzed wieków, który przy stole do rana potrafił opowiadać, świetnie mówić. To właśnie była fascynująca dla mnie metamorfoza Franio – wykonawcy dziennikarskiego rzemiosła w pedagoga. Tu się odnalazł chyba najpełniej A z tego, co słyszałem, młodzież go kochała po prostu. Chociaż ta miłość się nie przejawiała w tym, żeby młodzież przyszła go pożegnać na cmentarzu. Tego mi zabrakło. Przyszło całe pokolenie ludzi, którzy byli z nim związani. Z kulturą w jego czasach. Ze studiów z prawa było nas chyba trzech. Trzech tylko. Przyszli ludzie, którzy mieli z nim kontakt, aktorki teatralne, ludzie z teatru, ale młodzieży nie było. Tego mi zabrakło.

Data i miejsce nagrania	2016-05-23, Lublin
Rozmawiał/a	Joanna Majdanik
Redakcja	Agnieszka Piasecka
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"